

**JERZY SIEWIERSKI**  
**OPOWIEŚĆ O DUCHACH**  
**I GOREJĄCYM SERCU**



**JERZY SIEWIERSKI**  
**OPOWIEŚĆ O DUCHACH**  
**I GOREJĄCYM SERCU**



 **SAGA**  
EGMONT

Jerzy Siewierski

Opowieść o duchach i  
gorejącym sercu  
Ewa wzywa 07...Ewa wzywa 07...

Saga

*Opowieść o duchach i gorejącym sercu*

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Copyright © 1983, 2021 Jerzy Siewierski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726950939

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Na wybrukowanym kocimi łbami placyku przed dworcem czekała tylko jedna taksówka, którą natychmiast zajęła jakaś wielodzietna i objuczona pakunkami rodzina. Było ciemno, pusto i paskudnie. Padał drobny, ale gęsty deszcz, a listopadowy, zimny wiatr dmuchał solidnie i wdzierał się przenikliwym chłodem pod płaszcz.

Poczekalem z dziesięć minut w nadziei, że jakaś inna taksówka się jednak pojawi, ale w końcu doszedłem do wniosku, że czekać tak mogę w nieskończoność, więc podszedłem do faceta w kolejarskim mundurze, który nie zwracając uwagi na deszcz i zimno podpierał żelazną kratę, oddzielającą perony od placyku.

— Proszę pana — zapytałem — gdzie tu będzie ulica Cmentarna?

— A, panie, to ona będzie koło cmentarza...

— A cmentarz gdzie?

— A przy Cmentarnej ulicy, panie. Na samiutkim jej końcu... Pan na cmentarz o taka pora?

— Nie na cmentarz, ale na ulicę Cmentarną — wyjaśniłem.

— A to i dobrze, panie. Bo cmentarz to już zamknięty. O zmroku zamykają, panie...

W końcu mi wytłumaczył, jak trafić na ulicę Cmentarną. Podziękowałem grzecznie i powędrowałem we wskazanym kierunku. Na szczęście walizka ważyła tyle, co i nic. Zawierała tylko piżamę, przybory toaletowe i koszulę na zmianę. Szedłem więc szybko, popędzany jeszcze podmuchami wiatru.

Byłem tu przed dwudziestu kilku laty. Nie pamiętałem już dobrze drogi na ulicę Cmentarną, ale przypominałem sobie, że to dość daleko od stacji. I pamięć mnie nie zawiodła. Było rzeczywiście daleko. Deszcz gęstniał, wiatr się wzmacniał, a ja szedłem i szedłem przez opustoszałe ulice, mijając nie kończące się szeregi domów i domków, w

których oknach płonęły ciepłe światła, zalane deszczem ogrody, koślawe płoty i nielicznych przechodniów przemykających się chyłkiem od latarni do latarni. W końcu spostrzegłem znajomy cmentarny mur z czerwonej, pokrytej liszajami porostów cegły, zza którego sterczały w niebo ogołoczone z liści mokre gałęzie drzew, krzewów i las kamiennych i żelaznych krzyży...

A zaraz za cmentarzem był dom, który pamiętałem z młodości. Niski, parterowy, pokryty wysokim, stromym dachem z czerwonych dachówek. obrośnięty dzikim winem, w którego gąszczu w lecie nocowały ptaki. Wokół był listopadowy mrok, deszcz i dojrzałem tylko światła w niskich oknach, przebijające przez płataninę bezlistnych krzewów, zarastających przestrzeń między domem a drucianą siatką ogrodzenia.

Pchnąłem niską furtkę i wąską błotnistą ścieżką podszedłem do drzwi. Po omacku poszukałem dzwonka. Pamiętałem, że gdzieś tu powinien być. I rzeczywiście. Po chwili wymacałem drewnianą rączkę dyndającą na długim łańcuszku. Bo to był taki właśnie dziwny dzwonek, który już wtedy, przed dwudziestu kilku laty, wydawał mi się okropnie staroświecki.

Szarpnąłem za rączkę raz i drugi. Rozległo się zaskakująco czyste, metaliczne dyndolenie, a w niedługą chwilę potem zza drzwi, wciąż zawartych, dobiegł przytłumiony kobiecy głos.

— Kto?

— Ja do pani Milewskiej. Do pani Eufrozyny...

Coś zgrzytnęło, zachrobotąło, a potem drzwi uchyliły się z piskiem słabo naoliwionych zawiasów i jednocześnie bezlitośnie jaskrawym światłem rozbłysnęła żarówka umieszczona w drucianym koszyczku nad framugą. Drzwi nie uchyliły się zbyt szeroko. Zauważyłem spinający je łańcuch. Młoda dziewczyna o bardzo jasnych, długich

włosach, spadających w dół miękką, puszystą falą, obrzuciła mnie obojętnym i nieufnym zarazem spojrzeniem.

— Pani Milewska dziś już nie przyjmuje — powiedziała.

— Proszę przyjść jutro po południu.

Potrząsnąłem trzymaną w rękę walizeczką.

— Przyjechałem z daleka. Proszę mnie wpuścić...

Zastanawiała się chwileczkę. Obejrzała mnie jeszcze raz uważnie i podjęła decyzję:

— Niestety, bardzo mi przykro, ale to niemożliwe. Pani Milewska jest bardzo zajęta... Musi pan przenocować w hotelu. Proszę przyjść jutro.

Już chciała zatrzaskać mi drzwi przed nosem, ale zdążyłem zaprotestować:

— Chwileczkę! Niech pani nie zamyka! Pani Milewska czeka na mnie...

— Czeka? — w spojrzeniu jasnowłosej było zdumienie.

— Właśnie Wie. że miałem przyjechać... Napisała do mnie do Warszawy...

— Niech pan wejdzie — zdjęła łańcuch i wpuściła mnie do środka.

Sionka była ciasna, zagracona i ciemna. Wszystkie drzwi wiodące do pokoi były zamknięte. Na wieszaku zobaczyłem jakieś płaszcze i palta. W kącie stał rozłożony duży, czarny, męski parasol, z którego spływała woda.

Postawiłem walizeczkę na podłodze pokrytej linoleum i zacząłem rozpinać guziki zmoczonego płaszcza.

— Nazywam się Watucki — przedstawiłem się.

W oczach jasnowłosej panny rozbłyły iskierki zrozumienia:

— A! Pan Watucki! Słyszałam o panu... Moje nazwisko niestety nic chyba panu nie powie. Nazywam się Radwańska. Mieszkam z panią Milewską... Na imię mi Zofia, dla przyjaciół — uśmiechnęła się nieznacznie — Zośka... — podała mi rękę.

I kiedy się z nią witałem, jedne drzwi otworzyły się i do sionki weszła drobna, siwa kobieta w ciemnej sukni z białym koronkowym kołnierzykiem.

Pomyślałem, że nic się nie zmieniła. Przed dwudziestu kilka laty, gdy widziałem ją po raz ostatni, wyglądała chyba tak samo, jak dzisiaj. Teraz wydała mi się tylko trochę bardziej krucha i drobna..

Od razu mnie poznała, choć ja z pewnością zmieniłem się bardzo. Przed dwudziestu kilku laty nosiłem jeszcze krótkie spodnie, byłem okropnie chudy, piegowaty i miałem zawsze podrapane kolana. Liczyłem sobie wtedy trzynaście lat...

— Stasiu! — wykrzyknęła. — Jak to dobrze, że przyjechałeś! Żebyś wiedział, jak się bardzo cieszę...

Pochyliłem się i z należytyim szacunkiem ucałowałem wyciągniętą ku mnie dłoń, wąską, delikatną, pokrytą siateczką błękitnych pulsujących żyłek i suchą, papierowobiałą skórą.

— Postarałem się przyjechać jak najszybciej... Miałem kilka dni zaległego urlopu za przeszły rok. Postanowiłem go wykorzystać.

— Dobrze, że przyjechałeś. Rozbieraj się. kochanie! Ściągaj płaszcz.

Zdjąłem płaszcz. Gdy wieszalem go na wieszaku obok innych okryć, usłyszałem stłumione głosy, dolatujące zza jednych drzwi.

— Chyba nie w porę trafiłem — zacząłem się sumitować.

— Ciocia ma gości — wskazałem — głową drzwi, za którymi rozmawiano.

— Nic nie szkodzi. Stasiu. To tylko takie małe spotkanie starych znajomych... Gdybym wiedziała, że przyjedziesz już dzisiaj, odłożyłabym to spotkanie. Wiesz, zbieramy się tu w każdy ostatni piątek miesiąca... Taka już tradycja...

— Będę przeszkadzał.



— Nic podobnego. Zjesz coś, odpocniesz i potem pójdziemy do tych ludzi. Mogą poczekać. I tak się zdążą nagadać z Alfredem...

Imię to zabrzmiało mi jakoś znajomo, ale jeszcze nie kojarzyłem go z nikim konkretnym. — Widzisz — ciągnęła — zbieramy się dlatego właśnie w piątki, że w tym dniu tygodnia najłatwiej jest porozumieć się z Alfredem... Nie wiem, na czym to polega, ale tak właśnie jest...

Próbowaliśmy oczywiście i w inne dni, ale — wyobraź sobie nie — wychodziło... Może ty mi potrafisz wytłumaczyć, mój chłopcze, dlaczego tak się dzieje? Jesteś człowiekiem wykształconym...

Popatrzyłem na staruszkę ze zdziwieniem Kim jest ten Alfred? O czym ona właściwie mówi?

Moje zdziwienie musiało być wyraźnie zauważalne, bo pospieszyła z wyjaśnieniami:

— Pamiętasz chyba wuja Alfreda?

Przypomniałem sobie pana Alfreda Zapamiętałem jego wesołe, nieco wyłupiaste oczy, czerwony nochal i sumiasty wąs, najeżony nad górną, zawsze wilgotną, jakby trochę nabrzmiałą wargą. Zapamiętałem jego tubalny głos, dziwaczny sposób akcentowania słów i ostry zapach tytoniu, którym były przesiąknięte wszystkie jego ubrania. Zapamiętałem to wszystko nad podziw dobrze, mimo że gdy pan Alfred umierał, nie miałem jeszcze dziesięciu lat.

— Ach, ciocia mówi o wuju Alfredzie...

— Właśnie. Można się z nim porozumieć tylko w piątki. Od lat zachodzę w głowę, dlaczego się tak dzieje...

Zerknąłem ukradkiem na pannę Zosię. Miała poważną minę, ale w kącikach jej ust czaił się uśmiezek. Z wyraźnym, złośliwym zainteresowaniem wpatrywała się we mnie, oczekując, jak zareaguję na słowa Milewskiej. Postanowiłem, że nie sprawię jej uciechy. Z kamiennym spokojem oznajmiłem: — Nie mam pojęcia, ciociu, dlaczego